№ 24 WARSZAWA, DNIA 15 CZERWCA 1912 ROKU ROK II



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

Gustaw le Rouge.

NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy.

Opatrzyli moje rany, okładając je liśćmi dzikiego geranium, które mają własność szybkiego zabliźniania ran. Ubrali mię w nową suknię z piór i podali mi wkrótce wszystko, na co się mogli zdobyć: mięso pieczone, owoce i czystą wodę.

Pochłonąłem to łakomie, co napełniło ich zachwytem. Eoja krajała mi mięso na drobne kawałki, podając często wodę i patrząc na mnie z uśmiechem. Byliśmy wte wtedy nad brzegiem rzeki, na którą tak często patrzyłem z okna mojego więzienia.

Na drugim brzegu, góra mieszcząca w sobie jaskinie Erloorów, wybuchała przez wszystkie okna pasmami dymu.

Byłem pewnym, że ogień i Marsjanie wytępili wszystkie te potwory. Myliłem się jednak! Ujrzałem nagle w oknie jednego z nich, wydającego dzikie okrzyki bólu: po chwili wyskoczył głową na dół i wpadł do rzeki, lecz oślepiony jasnością dzienną, wkrótce zniknął pod wodą, ku wielkiej uciesze moich przyjaciół. Ten sam los spotkał jeszcze kilku—żaden z nich nie ocalał.

Miejsce, gdzieśmy obozowali, było śliczne.

Była to polanka otoczona drzewami, otwarta od strony rzeki, z wybrzeżem, pokrytem różowym piaskiem.

Drzewa te, jak wszędzie zresztą, przedstawiały jaskrawą mieszaninę wszelkich odcieni koloru żółtego i czerwonego. Nie były to już topole, czerwone wiązy i orzechy, z których się składały lasy na północy tej planety. Wspaniałe drzewa z rodzaju bana-

nów rozpościerały na wietrze swe delikatne korony, utworzone ze złocistych liści: był to literalnie złoty las — a to bogactwo kolorów aż nużyło wzrok zdumiony.

Ziemię pokrywał mech pięknego fijołkowego koloru, miękki i puszysty. Cały ten krajobraz był tak uroczy, że patrząc na niego, obawiałem się, czy nie śnię czasami.

Wyrwałem się wreszcie z niemego podziwu, prosząc Eoję, aby mi opowiedziała, w jaki sposób zdołali mię odszukać, gdyż znając leniwy i bojaźliwy charakter moich przyjaciół, nie umiałem sobie tego wytłoczyć.

To ją widocznie uradowało i napełniło dumą. Zaczęła natychmiast mówić:

— Kiedy nas porzuciłeś, nie wiedziałam, co myśleć o tem; byłam pewną, że cię już nie zobaczę więcej—i płakałam długo, długo. Za nadejściem nocy rozpaliliśmy wielki ogień, ale zdawało się nam, że nie potrafi on nas już bronić, skoro ciebie zabrakło. Patrzyliśmy na siebie ze smutkiem—wreszcie ja pierwsza otrząsnęłam się z tego przygnębienia i powiedziałam:

— Musimy go odszukać: jeżeli nikt z was nie zechce mi towarzyszyć, pójdę sama i muszę go odnaleźć.

Zaczęto mi odradzać; jedni wołali, że noc już zapada, inni, że muszą z twego rozkazu bronić wioski, inni jeszcze—że sam dasz sobie radę, a nas wymordują Erloory, bez żadnej dla nikogo korzyści.

Przekonywałam ich, jak mogłam, przedstawiając im jak rozmaite nieszczęścia spaść mogą na nich, jeśli dozwolą zginąć swemu panu i dobroczyńcy. Mówiłam, że może umyślnie uszedłeś gdzieś daleko, dla wypróbowania ich odwagi w odszukaniu cię. Nareszcie udało mi się nakłonić ich do puszczenia się w drogę z zapalonemi pochodniami.

Łatwo nam było z początku postępowania w ślad za tobą, gdyż droga, którą odszedłeś, była z obu stron obrosła kolczastemi krzakami, a na piasku widać było ślady stóp twoich. Tą drogą szliśmy ze dwie godziny, paląc dla oszczędności jedną tylko pochodnię, ale dużo, dużo ich mieliśmy ze sobą.

Cisza zupełna została naraz przerwaną oddalonemi krzykami, które zbyt dobrze były nam znane. Nie można było wątpić — to były wrzaski Erloorów! Na ten głos przyśpieszyliśmy kroku i biegli, co sił. Krzyki ucichły, lecz nieopodal ujrzeliśmy ślady walki: ziemia była stratowaną, a na niej tu i owdzie leżały czerwone i zielone pióra z twego ubrania.

Niestety! był to dowód niezbity, że zostałeś uprowadzonym przez te potwory!

W tej chwili chmury rozsunęły się nieco i przy świetle naszych księżyców, Fabosa i Dejmosa (czy dobrze pamiętam ich nazwy, które mi powiedziałeś?) ujrzeliśmy górę gładką skalistą, dokoła której krążyły roje Ertoorów.

Moi towarzysze na ten widok chcieli uciekać, gdyż zrozumieli, że są w pobliżu schronienia strasznych wrogów, do którego cię wtrącono!

Jedna tylko rzecz uspokoiła mię nieco: wiemy, że pożerają oni swoje ofiary natychmiast po ich pochwyceniu; jeśli cię więc zabrano żywcem, to zapewne nic i nadal twojemu życiu nie zagrażało. Pomimo tej myśli, noc całą spędziłam bezsennie, w śmiertelnej trwodze: mężczyzni nasi rozpalili duży ogień pod dachem z gałęzi, wszystkich jednak przejmował strach z powodu blizkości strasznych nieprzyjaciół.

Widzieliśmy nawet całe ich gromady, lecące do jaskini i z powrotem — lecz nie zwracały wcale na nas uwagi.

(D. c. n.)

(Tłom. z fran. *K. W.*).

HERKULES.

Ciąg dalszy.

Widząc oszaczonego zwierza, mieszkańcy Krety powychodzili z ukrycia. I o dziwo! W ich oczach dosiadł Herkules poskromionego szaleńca i kierując niem tylko za rogi, ruszył z powrotem do Uliken.

W drodze rozszalałe zwierze, czując przewagę Herkulesa nad sobą, uspokoiło się zupełnie.

Eurysteus, zobaczywszy oryginalnego rumaka, nie chciał wierzyć, że byk ten mógł takie szkody wyrządzać i pomimo ostrzeżeń Herkulesa rozkazał go wpuścić do stajni.

Jak długo Herkules oglądał poskromionego szaleńca, był on zupełnie spokojny, ale gdy Herkules ruszył ponownie na wyprawę, zwierze w jednej chwili podarło więzy i pozabijawszy kilka krów, wypadło na podwórzec. Szczęściem bawił jeszcze w tym czasie na dworze Tesseusz, który przybył namawiać Herkulesa, aby wziął udział w wyprawie argonautów i ten zabił rozszalałego byka.

11. Konie Dyomedesa.

W Francji mieszkali Bisłanowie. Królem ich był Dyomedes, który kochał się w koniach i w stadninie swej posiadał przepyszne ogniem ziejące rumaki, a sława tych koni rozbrzmiewała po całej Grecji. Rumaki te karmił Dyomedes ludzkim mięsem. Każdego cudzoziemca, który pokazał się w kraju, przeznaczał na strawę dla swych ulubieńców.

Naturalnie, że tak karmione konie, dzikie były i niebezpieczne.

Posłyszawszy o tych koniach Eurysteus, polecił Herkulesowi przyprowadzić je do Miken.

Wyprawa ta podobała się bohaterowi bardzo, dawno już bowiem myślał o nieludzkiem postępowaniu Dyamedesa i sam nawet postanowił ukarać zuchwalca, który tak gwałcił w całej Grecji niezmiernie szanowane święte prawo gościnności.

Aby Dyamedes nie mógł się skarżyć, że napadnięto go niespodzianie, Herkules uprzedził go o tem, że przybędzie, aby go ukarać.

Dyamedes postanowił się bronić! Ale, niestety Bisłanowie aż nadto już mieli swego krwiożerczego króla i na wieść o zbliżaniu się Herkulesa opuścili go. Zwycięzki Herkules ujął go wtedy i rzucił jego własnym koniom na pożarcie.

Następnie przyprowadził konie do Miken.

Była to już ósma z rzędu praca, którą wykonał bez zarzutu i Eurysteus na dobre utracił nadzieję zwycięstwa.

Zobaczywszy wspaniałe rumaki, kazał wybudować dla nich osobną stajnię i trochę z szyderstwa, trochę dla przypodobania się Herze, ofiarował niezwykłe konie na jej usługi.

Dużo pracy i trudu kosztowało, zanim rumaki odzwyczaiły się od ludzkiego mięsa, ostatecznie jednak przyzwyczaiły się do zwykłego pożywienia i odtąd, chociaż zawsze jeszcze ogniste, nie były już takie niebezpieczne.

W późne wieki chowały się potem w Mikenach konie, które pochodziły od

koni Dyamedesowych i Bucefał, sławny rumak Aleksandra Wielkiego, także z tego rodu pochodził.

Załatwiwszy sprawę z końmi Dyamedesa oznajmił Herkules Eurysteusowi, że chwilowo opuści dwór jego, przyrzekł bowiem Tesseusowi, że weźmie udział w wyprawie Argonautów.

12. Pas Hipolity.

Krainę Pontus w Azji mniejszej zamieszkiwały Amazonki. Były to osobliwsze niewiasty. Jedynem ich zajęciem była wojna i wszędzie znane były ze swej nieustraszonej odwagi.

Królowa tych Amazonek, Hipolita, otrzy-



.... Jakto? Więc sama dobrowolnie zamierzasz oddać się w ręce Herkulesa?...

mała od Aresa pas przedziwnej roboty.

Hera podmówiła córkę Eurysteusa, aby prosiła ojca o ten pas. Eurysteus uściskał jedynaczkę swą, podziękował jej serdecznie za nowy pomysł i wyprawił Herkulesa po pas Hipolity.

Zebrawszy wojsko wyruszył Herkules na jego czele przeciw Amazonkom.

Jak zawsze jednak nie chciał napadać znienacka i wyprawił posłów do królowej Amazonek z oznajmieniem, że myśli z niemi stoczyć walkę.

Hipolita nadspodziewanie przyjęła posłów bardzo życzliwie:

— Wypocznijcie. Sława pana waszego dotarła aż do nas i nie ze strachu, bo o to mnie nikt posądzić nie może, znaną bowiem jest powszechnie nasza odwaga, ale z życzliwości dla Herkulesa, gotowa jestem sama dobrowolnie oddać mu pas!

Hera zazgrzytała zębami ze złości, gdy się dowiedziała, że sprawa może zostać załatwioną pokojowo.

W jednej chwili przybrała na siebie postać Amazonki i zanim królowa odprawiła posłów Herkulesa z pasem, poprosiła o posłuchanie.

Hipolita zawsze miała ucho chętne dla swych posłanek.

— Z czem przybywasz?

— Z wieśćmi, z obozu Herkulesa.

— Niepotrzebnieś się trudziła. Wysłańcy jego są właśnie u mnie i sprawę załatwiłam pokojowo.

— Jakto? Więc sama dobrowolnie zamierzasz oddać się w ręce Herkulesa?

— Ależ nie o mnie tu chodzi! Herkules zamierzał zdobyć mój pas i ten oddałam dobrowolnie!

— Jakże wielką, ale zarazem jakże łatwowierną jesteś, niezwyciężona królowo! Herkules umyślnie wysłał posłów, aby uśpić twą czujność. Nie o pas mu chodzi. Zamierza on napaść cię nieprzygotowaną: porwać z obozu i chwalić się potem po całej Grecji, że jesteś jego niewolnicą!

D. c. n.

BOLESŁAW PRUS

SIEROCA DOLA.

Ciąg dalszy.

Jaś był dzieckiem potulnem, uczył się i słuchał. Ludzie obcy, jak naprzykład goście i folwarczna służba, mniemali, że chłopczyk ten był nierównie lepszy od dzieci pana Piotra i jego małżonki. Na nieszczęście, pan Piotr, odznaczający się, jak wiadomo, trzeźwym umysłem, upatrywał w nim wiele wad! Według jego opinji, Jaś był dziki, bo uciekał przed gośćmi, był skryty—bo niewiele mówił, a choć robił, co mu kazano, musiał to zapewne robić bardzo niechętnie. Najbardziej potępiał go pan Piotr za zaciętość.

— Jeżeli mego chłopca wezmę za ucho— mówił — to on zaraz krzyczy. Tego nieraz porządnie oćwiczę, a on ani piśnie. Najwięksi zbrodniarze odznaczali się w dzieciństwie takim uporem!...

Najgorszem było to, że Jaś — kłamał.

Pewnego razu, synek państwa Piotrów przyleciał pędem z obory, wołając:

— Tatku!... tatku!... ja nie byłem w oborze, ja cieląt nie wypuściłem!

— To pewnie Jaś wypuścił — rzekł surowo pan Piotr. — Prawda synku, że Jaś?

Zdziwiony synek milczał.

— No, przyznaj się, synku — mówił dalej ojciec — prawda, że Jaś wypuścił?

— A Jaś, proszę tatki, Jaś! — odparł chłopiec, który przed oczami duszy ujrzał w tej chwili widmo pięciopalczastej dyscypliny na sarniej nóżce.

Oburzony pan Piotr pobiegł szukać sprawcy złego i znalazł go w ogrodzie pod drzewem, gdzie Jaś spał, albo przynajmniej udawał, że śpi. Ale przenikliwy opiekun zrozumiał podstęp; porwał więc chytrego chłopca za ramię i krzyknął:

— Ty wypuściłeś cielęta?

Zbudzony Jaś szeroko otworzył oczy, wybornie udając zadziwienie i przestrach. Taka wielka bezczelność w tak małym chłopcu zrewoltowała cnotliwą duszę pana Piotra.

— O, sprawięż ja tobie łaźnię, hultaju!— mówił opiekun, ciągnąc go do swego pokoju.

— Ja nie wypuściłem cieląt!... Ja spałem w ogrodzie!... — wołał Jaś, zanosząc się od płaczu.

Ponieważ pani Wincentowej w tym czasie w domu nie było, a pani Piotrowa nie miała odwagi wstawiać się za przewrotnym chłopcem, Jaś więc dostał porządne ciągi. W kilka dni potem okazało się, że nie Jaś, lecz synek pana Piotra cielęta wypuścił, ale — już było za późno.

Małe to, jak mówił pan Piotr, nieporozumienie do reszty zniechęciło biedną wdowę. Stała się ona smutniejszą, niż kiedykolwiek, zżółkła, podupadła na zdrowiu i po całych dniach myślała o tem tylko, żeby jaknajrychlej wydobyć się z objęć poczciwych krewnych. Między nią a opiekunem toczyła się głucha walka, której widocznemi objawami były wybuchy gniewu ze strony pana Piotra i łzy wdowy.

II. Jaś zostaje synem guwernantki.

Częstymi gośćmi w domu pana Piotra bywali państwo Anzelmowie. Widzieli oni, że pani Wincentowa jest cicha, pracowita i zręczna, i że pan Piotr, pomimo całej dobroci serca i przytomności umysłu, nie należy do smacznych opiekunów. Litowali się oni nad losem wdowy, a ponieważ sami mieli chłopczyka i trzy córeczki, więc umyślili wziąć panią Wincentową do siebie.

Układ zrobiono po cichu. Ze jednak pani Wincentowa bała się zawiadomić o nim krewnych, więc wyręczył ją pan Anzelm.

— Cobyś to powiedział, kochany sąsiedzie — rzekł pewnego razu do Piotra — gdybyśmy ci zabrali twoją kuzynkę?

— Co wam tam po niej!—odparł Piotr, pogardliwie machnąwszy ręką.

— Byłaby u nas tak samo guwernatką, jak i tutaj.

Pan Piotr poprawił wąsa i z pod oka spojrzał na mówiącego.

— Ona przecież u nas nie była guwernantką — rzekł — tylko. . krewną.

— Dałbym jej dwieście rubli!—ciągnął dalej Anzelm, nie patrząc na sąsiada.

Pan Piotr oburzył się.

— Próżne gadanie! — zawołał z gniewem. — Onaby od nas nie odeszła za żadne pieniądze..

— Odejdzie! odejdzie!... A zresztą możemy ją zapytać.

— Dobrze... zapytajmy! — odparł zirytowany pan Piotr, trochę bojąc się, a trochę nie dowierzając temu, ażeby pani Wincentowa mogła okazać się niewdzięczną.

Niebawem wezwano biedaczkę, która ku najwyższemu ździwieniu pana Piotra, wyznała, że dom jego może opuścić.

— Co to znaczy, Zuziu?—krzyknął krewny. — Czy było ci u nas źle?...

— Owszem, dobrze... — odparła zmieszana — ale u pana Anzelma będę mieć pensję...

— No, jeżeli chodzi o stałą pensją—poprawił krewny — to mogę ci odtąd płacić sto pięćdziesiąt rubli rocznie.

— Bardzo dziękuję wujowi, ale... już umówiłam się z panem Anzelmem...

Ponieważ krewny nie odpowiedział nic, zatem pani Wincentowa pocichutku wysunęła się z pokoju. Wówczas pan Piotr wybuchnął:

— Ślicznie sąsiad postępujesz ze mną!— zawołał. — Godzi się to intrygować między familją?... Swietny los zrobi u sąsiada, że będzie guwernantką...

— Tutaj była guwernantką i klucznicą!— odparł popędliwie Anzelm.

— Co to: klucznica?.. była jak u siebie, panią w domu!... Umarłaby z głodu po śmierci męża, gdybyśmy jej nie przygarnęli... Zmarnowałaby rzeczy, gdybyśmy ich dobrze nie sprzedali!

— Cóż z tego, żeś pan sprzedał rzeczy, kiedy już niema pieniędzy.

Ostatnia uwaga najdotkliwiej zraniła pana Piotra, który zapominając o prawidłach gościnności, wyszedł z pokoju, trzasnął drzwiami i zostawił sąsiada samego. Pana Anzelma wcale to nie obraziło; siadł w tej chwili na bryczkę i pojechał do domu, myśląc z rozkoszą, że pomógł prawdziwemu nieszczęściu.

Teraz dopiero, wprawdzie na bardzo krótko, zmienił się los wdowy i sieroty w domu krewnych. Pani Piotrowa obsypywała pieszczotami kochaną Zuzię i Jasia, któremu pan Piotr chciał natychmiast sprawić nowe ubranie, a matce płacić odtąd dwieście rubli. Poczciwy krewny robił to bardziej dla uniknięcia skandalu i zatrzymania pożytecznej Zuzi, aniżeli z uczuciowych powodów.

Ale pani Wincentowa, mimo uległości i szacunku dla opiekunów, uparła się. Widocznie nie umiała ocenić przywiązania krewnych. Po czteroletniem pobycie między nimi, dom ten wydał się jej nieznośnym. Nie było prawie kąta, gdzieby nie płakała nad sobą albo synem; nie było pokoju, w którymby nie widziała kwaśnej miny pani Piotrowej i ponurego wzroku pana Piotra; nie było pola i ogrodu, po którymby Jaś jej boso nie biegał. Przypominała sobie z goryczą kaprysy dzieci, zuchwalstwo służby, na którą nie było się przed kim skarżyć. Pamiętała gości, przed którymi obdarty i zdziczały Jaś krył się po kątach i do których ona sama nie zawsze mogła wychodzić, z powodu braku sukni.

To też napróżno pani Piotrowa błagała ją ze łzami; napróżno dzieci, przez kilka dni, były tak grzeczne, jak cherubiny; napróżno przytomny pan Piotr zbił dwie służące za hardość. Wdowa wstawiała się za sługami, pieściła grzeczne dzieci, a uprzejmym rodzicom wyświadczała tysiączne usługi. Lecz gdy przyszły konie od pana Anzelma, postanowiła jechać.

Widząc to, pan Piotr rzekł jej na odjezdne:

— Kiedy chcesz, jedź!... Ale od tej chwili — nie znamy się!

Spakowawszy trochę rupieci, siadła pani Wincentowa na bryczkę, zalewając się łzami. Furman podał jej zdziwionego Jasia. Ze dworu nikt nie wyszedł na pożegnanie, tylko w oknach kuchni widać było smutne lub uśmiechnięte twarze służby. Gdy ruszyła bryczka, kilka psów podwórzowych, wśród podskoków i głośnego szczekania, odprowadziło wdowę aż na pole. Nic dziwnego! ona te psy karmiła, a Jaś zawsze bawił się z niemi, nigdy ich nie bił, ani targał za uszy.

Nowi gospodarze, choć obcy, a może właśnie dlatego że obcy, okazali się nierównie lepszymi od krewnych. Pani Anzelmowa była sobie szczupłą, bladą i chorowitą szatynką. Lubiła czytywać romanse i grać na fortepianie; do gospodarstwa nie mieszała się tak dalece, że nawet służący jej nie umieliby powiedzieć, jak wygląda. Pan Anzelm znowu, nizki, przysadzisty, ogorzały i rumiany blondyn, był człeczyna uczciwy z kościami.

W takiem towarzystwie nie mogło być

źle pani Wincentowej. Państwo byli dobrzy, dzieci grzeczne. To też między nimi odżyła biedna wdowa i jej synek.

Zaraz po przyjeździe, pan Anzelm dał nowej guwernantce kilkadziesiąt rubli z góry. Za tę sumę oporządzili się nieboracy i z najlepszą otuchą zajęli swój pokoiczek na piąterku.

Cacko też to było, nie pokoik! Miał czyściuchną podłogę, w kącie piec i białe jak mleko ściany, których jedyną wadą było to chyba, że trochę bieliły suknie. Do jednego z okien wspinały się gałązki dzikiego wina, do drugiego przylatywały kołębie, wołając: ,,Grochu!... grochu!...''

(D. c. n.)

Domy ptasząt i ich potomstwo.

Ciąg dalszy.

Dość jest spojrzeć na gniazdo, aby odgadnąć artystę. Weźmy naprzykład dzie-



Gniazdo zięby.

ło zięby — toć jej gniazdko jest arcytworem zręczności i wdzięku; a znawcy — przyrodnicy nie wiedzą, komu pod tym względem oddać pierwszeństwo—ziębie, czy szczygłowi, którego gniazdko również ich w podziw wprawia.

Zięba, szczygieł i makolągwa wyrabiają z nieporównaną doskonałością tkaniny z włosia, bawełny i włókien roślinnych.

Wilga za pomocą kilku nici zawiesza swe gniazdo na kołyszących się gałęziach topoli, jakby dlatego, aby powiew wiatru kołysał jej kochane pisklęta.



Gniazdo wilgi.

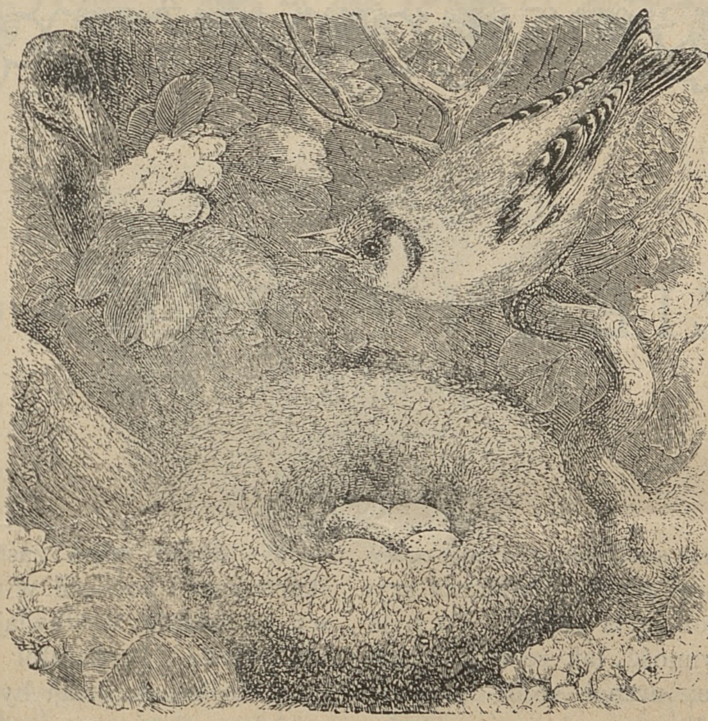
Wszystkie te arcydzieła wdzięku, lekkości i trwałości są dziełem matek. W świecie ptaków samica sama wybiera miejsce na gniazdo i wybór ten bywa dokonany z wielką roztropnością. Rozpoznaje ona kierunek wiatrów, umieszcza gniazdo pod osłoną od wiatrów panujących; stwierdzono to wielokrotnie.

Czy gniazda są umieszczone na wierzchołku drzew, czy spoczywają na ziemi w zaroślach, czy na palącym piasku pu-

styni, czy, jak łódki pływają po wodzie, zawsze jest rzeczą pewną, że miejsce jest wybrane doskonale dla największej korzyści piskląt, dla ułatwienia dostarczania im żywności.

Ptaki, których pisklęta są za słabe, aby mogły zaraz po wykluciu się stać na nogach, umieszczają swe gniazda na drzewach i w miejscach wzniesionych. Te zaś, których pisklęta są mocne i mogą chodzić zaraz po wyjściu z jajka, gnieżdżą się w miejscowościach nizkich, u podstawy drzew, lub nad wodami.

Również wielką przezorność okazują ptaki przy wyborze materjału. Jeżeli pisklęta wykluwają się nieopierzone, gniazdo bywa bardzo miękkie i ciepłe. Zwykle gniazdo składa się z trzech, lub dwóch warstw różnego materjału. Warstwa, na której spoczywają inne, składa się z najgrubszego materjału. Druga warstwa składa się z materjału delikatniejszego, a wewnątrz znajduje się najdelikatniejsza część. Według tej zasady zbudowana jest większość gniazd, umieszczonych na drzewach, lub gałęziach; ptaki większe używają materjałów grubszych, niż ptaki małe.



Gniazdo szczygła.

Ptaki wróblowate żyją w czułej zgodzie i miłości; wiele z nich należy do śpiewających, inne odzywają się, jak gołębie.

Samiec pomaga samicy w budowie gniazda i zaspakaja wszystkie jej potrzeby w czasie wysiadania jaj, a jeżeli należy do śpiewających, uprzyjemnia jej ten czas śpiewem.

Szczygieł w czasie wysiadywania zaledwie odważa oddalać się od samicy, szuka dla niej pożywienia w sąsiedztwie i żeby ją rozweselić, siada na wierzchołku drzewa, na którem znajduje się gniazdo i stamtąd śpiewa.

Zięba również jest dobrym ojcem, ale

odznacza się większą podstępnością, gdyż wystrzega się śpiewu na tem drzewie, gdzie jest gniazdo, a dla odwrócenia uwagi ciekawych odzywa się to z prawej, to z lewej jego strony, w takiej jednakże odległości, żeby go samiczka słyszała.

(D. n.)

Ernest Seton Thompson.

DZIELNY ROGACZ

(BARAN GÓRSKI).

DOKOŃCZENIE

Przyniósł drew suchych, rozpalił ogień wyjął nóż i zabrał się do obnażenia szyi barana w celu obcięcia głowy. To była zwykła jego czynność, tak że wykonywał ją mechanicznie; urznął sobie przytem sporo mięsa dla zaspokojenia głodu. Wreszcie, ugiąwszy ramiona pod ciężarem trofei, ciężarem, któregoby nie czuł nawet przed trzema miesiącami, poszedł wolnym krokiem, stary, wynędzniały, osiwiały, wyczerpany człowiek ku chacie, którą opuścił przed dwunastoma tygodniami.

XVIII.

— Nie! na pieniądze nie da się ocenić — mruknął Scotty i milcząc odwrócił się od preparatora, by handlowi położyć koniec, potem puścił się w powrotną 500 kilometrową drogę do swego samotnego domu z preparowaną głową Rogacza na ramieniu.

W domu zdjął zasłonę, okrywającą skarb jego i powiesił w najlepszem miejscu na ścianie, wystawiając na jaknajlepsze światło. Preparator zrobił swą robotę doskonale: rogi były niezmienione, a piękne złote oczy patrzyły jak żywe i gdy światło pokojowe użyczyło im swego blasku, odnowiły się w sercu starego myśliwego wszystkie uczucia, których doznawał wówczas na Szczycie Baranim; szybko więc zapuścił na głowę barana zasłonę.

Przyjaciele Scottego opowiadali, że ta piękna głowa Rogacza była zawsze zasłonięta i nigdy nie było o niej mowy. Jeden tylko mówił, że widział jak raz Scotty ją odkrył, patrzał na niego „bardzo dziwnie” i szeptał: „tak, to są moje rogi, ale i ze mną będzie kwita!”

Cztery lata upłynęły. Scotty, zwany teraz „zgrzybiałym Scottym”, nie dotknął przez ten czas fuzji. To ostatnie, namięt-

ne, szalone polowanie wyniszczyło go całkowicie. Żył byle czem, o zarobki nie dbał, na ludzi nie patrzał, uważano go za obłąkanego.

Pewnego dnia zimowego odwiedził go stary kolega. Rozmowa nie zawierała więcej jak jedno zdanie na godzinę.

rzekł Scotty i odwróciwszy się, dalej palił swoją fajkę.

— Powiedz mi, bracie, dlaczego nie sprzedaż tych rogów, jeśli cię tak gniewają? — rzekł przybysz — ten z New Yorku kazał powiedzieć, że chce dać ci...



.... Rogi były niezmienione, a piekne złote oczy patrzyły jak żywe....

— Słyszałem, — rzekł wreszcie przybysz — żeś zabił Rogacza.

Scotty poruszył głową potakująco.

— Czy mogę go zobaczyć?

— Tam jest — odrzekł stary i wskazał głową wiszący na ścianie przedmiot.

Przybysz zdjął zasłonę i wydał kilka okrzyków zachwytu, których Scotty słuchał niemy i ponury, jednakże odwrócił się i sam spojrzał na cudną głowę.

Właśnie palił się ogień na kominku i rzucał czerwone promienie na szklane oczy barana, udzielając im czerwonego, gniewliwego blasku.

— Zasłoń, gdy będziesz miał dość —

— Do piekła z waszym New Yorkiem! Ja nigdy go nie sprzedam, ja go się nigdy nie pozbędę. Tak długo byłem u niego, aż koniec był z nim, i on teraz zostanie ze mną tak długo, aż będzie kwita ze mną. Te cztery lata oddał mi. Na naszych wyścigach wówczas złamał mnie zupełnie, zrobił ze mnie starca, niedołęgę! Życie mi całkiem wyciągnał. Ale jeszcze nie koniec ze mną. Ale tutaj jest z niego coś więcej, niż głowa. Mówię ci, gdy stary Chinook dmie w dolinie, słyszę tu głosy, których wicher nie może wydać. To brzmi tak jak wtedy, gdy mu życie nosem uleciało i ja

leżałem obok niego twarzą na ziemi. Leżałem znowu na nim i tu nastąpił koniec mój.

Nocy tej dął biały wicher i gwizdał, i syczał naokoło chaty Scottego. Przybysz nie robiłby sobie nic z tego, ale wiatr ten tak dziwnie brzmiał i huczał przezedrzwi, że aż skoble trzeszczały, i przez szpary w oknach dostawał się do izby, podnosząc gwałtownie zasłonę z głowy barana.

Scotty rzucił na kolegę swego dzikie, straszne spojrzenie, nie przemówił ani słowa, ale tamten pobladł śmiertelnie.

Nad ranem zaczął padać śnieg, ale przybysz puścił się w drogę, bo w chacie Scottego nie był w stanie dłużej pozostać.

Przez cały dzień dął biały wiatr, a śnieg pokrywał wciąż ziemię i drzewa. Coraz wyżej i wyżej sięgał, wszystkie niższe wierzchołki pokryły się całkowicie, zaokrąglając się kopulasto, wszystkie dolinki zrównały się z otoczeniem; cały dzień padały miękkie, białe płatki i nie rozwiewały się na wszystkie strony, lecz gromadziły się masami coraz więcej, coraz pulchniej i coraz ciężej, bez przerwy, bezustanku... A gdy noc nadeszła dął Chinook jeszcze mocniej i jeszcze głośniej. Ze szczytu na szczyt przeskakiwał gwałtownemi skokami, niby nie podmuch powietrza, ale żywe stworzenie, tak jak pojmowali go Grecy lub Indjanie, duch, który pobudza do życia istoty, kocha je i ochrania. Jak potężny bóg przyszedł, jak anioł złości, z grzmiącym rogiem w ręku, ze straszliwą wieścią od morza zachodniego, z wojennem poselstwem, śpiewający tryumfującą pieśń:

Matką jestem, biały wicher!
Śniegi i szczyty gór są memi dziećmi
Teraz wszystko ugina się pod władzą moją
Musi mi służyć tej nocy, służyć posłusznie.

Tu i owdzie jak na rozkaz działy się dziwne rzeczy na szczytach górskich. Tu powstawały jeziora, tam zostały zniszczone; posłowie życia i śmierci zostali rozesłani. Z Purcelowego szczytu zsunęła się lawina: porobiła w bokach góry głębokie bruzdy i rany; druga, którą przysłał biały wiatr spuściła swe wody na spragnioną ziemię, poseł miłosierdzia. Ale ze Szczytu Baraniego toczyła się olbrzymia masa, posłaniec zemsty. Niżej, coraz niżej leciała z głośnym jękiem, spadała z ramion, z brzegu góry, na las zakrywający jej drogę, niszcząc go doszczętnie, teraz trzeszczy, skacze, toczy się, rwie w nieustannym gwałtownym pochodzie. Niżej, niżej, coraz wściekłej w strasznych skokach i rzutach.

Chata Scottego została zdruzgotana ze wszystkiem, co w niej było i żyło. Stary myśliwiec przeczuł swój los. Matka Rogacza — matka wicher zachodni nadeszła od morza Zachodniego: długo wahała się, aż wreszcie przyszła.

* * *

Na skalistych górach świta wiosna. Cichutko zmywa deszcz zachodni masy śnieżne. Powoli ukazują się szczątki chaty Scottego, a między niemi widnieje pośrodku nieuszkodzona głowa Rogacza: bursztynowe jego oczy pod osłoną cudownych rogów błyszczą jak za życia, a obok niej leżą połamane kości i pęki siwych włosów ludzkich.

O starym Scottym już dawno zapomniano, ale głowa dzielnego Rogacza jest dotychczas ozdobą ścian pewnego pałacu — klejnot nad klejnotami. A gdy goście podziwiają te cuda natury, snują się opowiadania o czynach bohaterskich sławnego barana ze Szczytu Baraniego.

Tłom. *M. Arct-Golczewska.*

Weggis, w lipcu 1911 r.

ś. p. Teresa Prażmowska-Wołowska.

W Warszawie zmarła jedna z wybitnych działaczek pedagogicznych, ś. p. Teresa Prażmowska-Wołowska.

Ur. w r. 1842, po śmierci męża poświęciła się gorliwej a pożytecznej pracy pedagogicznej, przeplatając ją pisaniem utworów literackich. Poza powieściami dla dorosłych, pisała książki dla młodzieży, wydała historję Polski do użytku szkolnego i t. d. Z zapałem oddawała się pracy społecznej na przeróżnych polach. W r. 1893, zamieszkała przymusowo w Odesie, gdzie aresztowana, skazaną została na pięcioletni pobyt w Archangielsku. Po odcierpieniu zesłania, powróciła do kraju, pełna zapału do dalszej a owocnej pracy.

Cześć jej pamięci

KRONICZKA.

△ W Zakopanem zmarł Jan Purwin, publicysta, autor paru prac z dziedziny ekonomicznej.

△ Konstantynopol dotknęła klęska pożaru przyczem spłonęło 2,300 domów. Straty olbrzymie.

△ W Dayton, w Ameryce, zmarł Wilbur Wright, znany lotnik. Zmarły wraz z bratem swoim Orvillem, długie lata poświęcił badaniu budowy maszyn do latania. Badania te uwieńczone zostały tryumfem — pierwszy aeroplan wynaleziony został przez nich w r. 1905. Świat cały stanął w zdumieniu wobec tego genialnego wynalazku, który dał impuls innym do coraz dalszych w tym kierunku udoskonaleń. Po szeregu tryumfów w Europie, powrócił Wilburg Wright do Ameryki, by pracować nad nową konstrukcją aeroplanu. Tam go śmierć zaskoczyła.

△ W Moellersdorfie, pod Wiedniem, nastąpił straszny wybuch prochu, który zniszczył literalnie wszystko w promieniu paru kilometrów. Trzydzieści parę osób zginęło na miejscu, sto kilkadziesiąt jest rannych ciężko.

△ We Lwowie zmarł wybitny profesor politechniki lwowskiej, Edgar Kovats. Zmarły położył wielkie zasługi przy rozwoju sztuki zakopiańskiej.

△ W Tulonie odbywają się próby z wynalazkiem inżyniera de Sepela, który pozwala słyszeć tony na znaczną bardzo odległość.

△ We Lwowie uroczyście poświęcono pomnik ś. p. Tadeusza Romanowicza, działacza z r. 1863, a następnie dziennikarza we Lwowie.

WAKACJE.

Nadeszła ulubiona, oddawna z pragnieniem oczekiwana przez młodzież szkolną pora roku. Zaniemieją mury zakładów naukowych, a zaroją się pola, łąki i lasy od jasnych i ciemnych główek.

Jak spędzić wakacye najprzyjemniej i najpożyteczniej dla ciała i dla ducha? Wakacye nie są przecież porą, kiedy nic uczyć się nie należy. Owszem, są okresem, kiedy wiele cennych zdobyć można wiadomości, nie w podręczniku szkolnym, ale w otwartej czytając księdze natury.

Aby zaś rozumieć jej głoski, trzeba nie tylko umiejętności, ale — i serca. Trzeba odszukać w sobie głęboko w duszy mieszczucha ukryte nici instynktu, wiążącego człowieka z Matką-Naturą. Trzeba zrozumieć i odczuć serdecznie, z jakim to ciężkim mozołem i nieustanną troską każde stworzenie wywalcza istnienie sobie—i swemu potomstwu, do jakich chytrych nieraz ucieka się wybiegów, by módz żyć, by życie swoje poza zgon przedłużyć.

Każde źdźbło roślinne, z trudem przebijające się przez kamienistą glebę, każde gniazdko ptasie, misternie uwite, ileż zawiera w sobie pociągającej treści dla tych, którzy w dumie swej nazywają siebie panami świata! Trzeba mieć tylko oczy otwarte—i serce. Natura bowiem to wielka wychowawczyni nie tylko pod względem umysłu, ale i charakteru.

To też, jak mówi poeta, ten tylko „cud obaczy", kto „ma serce i patrzy w serce". W ser-

ce natury! Miłuje ją szczerze i niepodzielnie, instynktem i bezinteresownie, zarówno w wielkich jej tworach, jak i w najdrobniejszym pyłku.

Tymczasem cóż widzimy na każdym kroku? Mieszkańcy miast na bujnem łonie natury jakże często robią wrażenie niszczycielskiego roju szarańczy! Złe i bezmyślne tępienie mnóstwa istot żywych i pragnących żyć, a często nawet dla człowieka ze wszech miar pożytecznych, dla zadowolenia li-tylko chwilowej ciekawości lub kaprysu, jakaś barbarzyńska zaciekłość w prześladowaniu tworów przyrody, które bronić się nie umieją, jakaś tępa obojętność na ból i krzywdy, jakie zadajemy, nie myśląc nawet o tem — oto co nieraz cechuje niewykształconego przyrodniczo mieszczucha, zabłąkanego wśród dziwów przyrody, a obcego jej — wyrodka. Strzeżmy się takiego okrucieństwa!

Nie bez przyczyny przypominamy te, ach! jakże pospolite fakty! Wakacye bowiem to okres kolekcyonowania zbiorów przyrodniczych. A niech się komu nie zdaje, że samo np. chwytanie i przekłuwanie szpilkami owadów jest już czynem bohaterskim w zakresie nauki czystej. Zbiory o tyle tylko mają wartość, o ile przyświeca im myśl przyrodnicza, t. j. o ile uczymy się tą drogą poznawać życie i kochać je. W przeciwnym bowiem razie grozi młodemu zbieraczowi poważne z punktu widzenia pedagogicznego niebezpieczeństwo: rozwinięcia się gorączki kolekcyonistycznej. I czemże tedy zbiór motyli lub roślin różni się od kompletu marek pocztowych lub — biletów tramwajowych? Tą drogą dochodzi się do dziwactwa, manii, słowem, najzupełniejszego zapomnienia o tych jasnych celach, które wiodły nas od początku.

A rezultat stąd jaki? Mordowanie bezlitosne mnóstwa zwierząt, których życia i obyczajów się nie zna, których się określić nie potrafi—bez żadnej korzyści ani dla serca, ani dla umysłu. A po roku czy po dwóch, gdy namiętność przejdzie, pudełka z pokruszonymi owadami i stosy bibuły od zielnika— idą na śmietnik.

Jak kolekcyonować okazy przyrodnicze, o tem znajdą czytelnicy obszerne informacye w dziełkach specyalnych. Na tem miejscu służyć możemy tylko ogólną wskazówką. Nie należy przedewszystkiem rozpraszać się, raczej wybrać sobie tę lub inną gałąź przyrodoznawstwa, np. motyle, albo chrząszcze, i zamknąć się z całą wytrwałością w jej obrębie, inaczej bowiem nigdy nie zdobędzie się względnej bodaj pełności zbioru.

Jeszcze lepiej zrobią ci, którzy zechcą w swych zbiorach zobrazować faunę i florę pewnego środowiska w zamieszkanej przez nich podczas lata okolicy: rów przydrożny, wydma piaszczysta, łąka wilgotna, lasek, w pobliżu domu położony, dadzą młodemu przyrodnikowi szerokie pole do samodzielnych obserwacyi, a zbiór taki, odpowiednio zgrupowany i określony, może mieć nawet pewną wartość naukową.

I jeszcze jedno: pouczającem jest niezmiernie obserwowanie tajemnic natury na okazach żywych. Baczne np. przyglądanie się kiełkującej roślinie lub odwiedzającemu kwiaty owadowi pożyteczniejsze jest, niż bezładny zbiór zasuszonych roślin lub motyli.

Ale przedewszystkiem — potrzebne jest to poczucie, że staje się oko w oko z wielką, uroczystą tajemnicą, jaką jest — życie.

KOLEKCJONOWANIE I KLUCZE.

Ogólne wskazówki co do sposobów urządzania zbiorów przyrodniczych i oznaczania okazów znalezionych znajdą czytelnicy w licznych książkach, atlasach, pogadankach i podręcznikach, które wyszczególnimy później.

Poniżej wymieniamy kilka dziełek, wyłącznie tym przedmiotom poświęconych, a dla poważnie pojmującego swoje cele badacza niezbędnych.

Czerwiński K. Kolekcyonowanie zwierząt — 40

Dyakowski B. Wskazówki do hodowli motyli oraz urządzania zbiorów — 15

Piątkowski K. Wskazówki do zbierania owadów — 45

Hildt L. F. Wskazówki zbierania owadów tęgopokrywych — 15

Arctówna M. Wskazówki do zbierania roślin i układania zielnika — 20

Arctówna M. Etykiety do zielnika, zawierające 1230 nazw roślin — 25

Klucz do oznaczania zwierząt kręgowych, wydany staraniem Kółka przyrodników, uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod redakcją prof. H. Hoyera 1 75

Goldhamerówna R. Klucz do oznaczania zwierząt ssących krajów polskich. I. Nietoperze. Chiroptera. — 55

Dybowski B. Dr. Klucz do oznaczania zwierząt ssących krajów polskich. II. Owadożerne. Insectivora — 55

Wyrobek E. Ważniejsze owady krajowe i zagraniczne, tudzież łatwy klucz do ich oznaczania — 85

Kulwieć K. Chrząszcze polskie, klucz do określania owadów tęgopokrywych dla użytku młodzieży, amatorów i ogrodników — 60

Dzierzyński Ign. Podręcznik szkolny, do oznaczania pospolitszych roślin letnich i jesiennych, kwitną cych od połowy czerwca do końca jesieni — 50

Rostafiński J. Przewodnik do oznaczania 1000 roślin dzikich i hodowanych, z 440 rycinami, wydanie IV, obejmujące rodniowce i rośliny nasienne, w dwu zeszytach (I — tekst, II — ryciny), obie części 1 20

Wermiński F. Flora Królestwa Polskiego, krótki podręcznik do określania roślin naczyniowych 1 75

Chmielewski Gr. Klucz do oznaczania roślin, spotykanych na wycieczkach botanicznych, według Postela, część I i II razem 2 50

„O własnych siłach".

Łamigłówka okólna

ułożona przez Jasię, Isię i Hanisię.

—o—

Kreski i liczby zaminić na litery, tak aby litery, oznaczone kolejnemi liczbami, utworzyły pseudonim wielkiego pisarza.

1
10 — 2
11 — — — 3
10 — — — — — 4
9 — — — 5
8 — 6
7

Znaczenie wyrazów:

1. Samogłoska.
2. Liczba.
3. Imię męzkie.
4. Rzemieślnicy.
5. Uroczystość kończąca rok szkolny.
6. Zwierzę domowe.
7. Samogłoska.

Łamigłówka kreskowa

ułożona przez Jadzię B.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 16 wyrazów 8-mio zgłoskowych, tak aby litery oznaczone krzyżykami, utworzyły imię i nazwisko muzyka polskiego.

Sylaby: bar, ryt, nja, te, gie, nia, szul, row, fro, ba, zi, lo, se, nie, lan, ce, ter, o, wo, sie, cja, dy, duk, zan, bar, dyf, dal, ur, wa, a, e, wa, per, pa, te, sła, ro, skrzyp, in, do, u, mir, lit, kin, usz, o, kan, ta, ma, ka, cja.

1. × — — — — — — —
2. — × — — — — — —
3. — — × — — — — —
4. — — — × — — — —
5. — — — — × — — —
6. — — — — — × — —
7. — — — — — — × —
8. — — — — — — — ×
9. — — — — — — — ×
10. — — — — — — × —
11. — — — — — × — —
12. — — — — × — — —
13. — — — × — — — —
14. — — × — — — — —
15. — × — — — — — —
16. × — — — — — — —

Znaczenie wyrazów:

1. Wyspa w Afryce.
2. Ciężka choroba.

3. Imię żeńskie.
4. Kraj pod panowaniem Austrji.
5. Córka poety polskiego.
6. Inaczej twierdza.
7. Bogini grecka.
8. Dawna baszta warowna.
9. Miejsce klęski Napoleona.
10. Ostatni król Macedonji.
11. Rodzaj lektyki
12. Przyrząd geometryczny.
13. Imię męzkie.
14. Miasto w gub. Kowieńskiej.
15. Instrument muzyczny.
16. Zjawisko fizyczne.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 20.

1.	Moskwa	M
2.	Islandja	i
3.	Etna	e
4.	Czoło	c
5.	Zoologja	z
6.	Y	y
7.	Sohara	s
8.	Łosoś	ł
9.	Antylopa	a
10.	Wodotrysk	w
11.	Brzoza	B
12.	Renifer	r
13.	Zachód	z
14.	Edward	e
15.	Zefir	z
16.	Izaak	i
17.	Ń	ń
18.	Sęp	s
19.	Karlsbad	k
20.	Imbryk	i

Mieczysław Brzeziński.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 20.

1.	Karpaty	K
2.	Odra	o
3.	Neapol	n
4.	San	s
5.	Toruń	t
6.	Amazonka	a
7.	Norwegja	n
8.	Tanganika	t
9.	Y	y
10.	Nil	n
11.	Odessa	o
12.	Pireneje	p
13.	Osean	o
14.	Lublin	l

Konstantynopol

Odpowiedź fotograficzna.

Ceber z Lublina zapytuje czy redakcja ogłosi teraz jaki konkurs *krajoznawczy lub fotograficzny*. Konkurs będzie ogłoszony w numerze następnym, a fotograficzny być może na jesieni. Co do papierów, to należało podać, jakiego gatunku papiery mają być, czy do kopjowania zwykłego, czy z wywołaniem i t. p. *Zalecamy papiery żelatynowe chlorosrebrne fabryki belgijskiej Gaevert glansowane lub matowe, torujące się łatwo, kopjujące szybko. Na żądanie udzielimy bliższych objaśnień lub takowe poda przy papierze skład, gdzie papier będzie kupiony. Są prawie w każdym składzie do nabycia. Fabryka ta wyrabia różne gatunki.*

K.

Dla uniknięcia zwłoki w przesyłce, uprzejmie prosimy o wcześniejsze przysyłanie przedpłaty na kw. 3-ci.

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

Warunki prenumeraty.

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	— „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa**

Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3.